Nr. 29. We Lwowie dnia 22. lipca 1895. Rok III.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Z PRZYGNĘBIEŃ

VII.

1.

Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!
Ku twoim pieśniom, które wiew wiosenny
W bezmierny przestwór na swych puchach niesie,
Ulata duch mój, sam w melodje plenny.

Syt jestem ziemi, z tej kaźni codziennej
Trosk jej i cierpień, o szumiący lesie,
W akordy hymnów pierwotnych brzemienny,
Jak więzień z kajdan, tak ma dusza rwie się.

Jest zapomnienie w twej pieśni; jest lube,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
W fali twych tonów rozpłynięcie bytu;

Jest w nich tajemne przeczucie, że zgubę
Tego, co duszy wybawieniem zwie się,
Chowają w sobie dziedziny błękitu.

2.

Struny twej harfy, o szumiący lesie,
Dech ów porusza, co był w onej porze,
Gdy pod budowę wszechświata przyciesie
Pramistrz w niezmiernym układał przestworze —

Gdy kształty bytów święte słowo boże
Przybierać jęło. O szumiący lesie,
Rozlewne dźwięków prabytowych morze!
W on czas, gdy żywioł za żywiołem rwie się,

Kiedy Tworzyciel blask swój i swe cienie
I cichość swoją i swój rozgwar niesie
W pustą bez słońca i bez nocy głuszę —

To samo w on czas spłodziło nasienie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Dwie siostry bliźnie: twą i moją duszę.

3.

Dlatego dzisiaj, o szumiący lesie!
Ma dusza wnika w twą duszę, rozumie,
Chociaż ludzkiego ciała ogniem zwie się,
Choć ludzkim śpiewa językiem, w tym szumie

Akord najcichszy... A gdy w drzew twych tłumie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Wichr się rozgości w swej szalonej dumie
I burzycielskim swoim tchem rozniesie

Twe liście świeże, przerywając ciszę
Trzaskiem konarów, i ma dusza gnie się
I swą koronę wraz z twemi kołysze

I razem z tobą, o jęczący lesie,
Jęczy i jęk swój razem z twoim splata
W echo tych cierpień, co ranią pierś świata...

4.

O rozśpiewany, o szumiący lesie!
Wiem-ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
Że snać go dusza nie wytrzyma żywa,

Nie jak wróg na nas z dzikim świstem spływa,
Ale najszczerszym przyjacielem zwie się,
Bo najszumniejsze melodje dobywa
Z mej i twej lutni, o rozgrany lesie!

A jednak dzisiaj — niech wierzchołki twoje
Ten tajemniczy, cichy wiew porusza
W pieśń, co ma w sobie zapomnienia zdroje,

Co rozpłynięciem jest bytu. Niech rwie się
Świat ten! Spokoju spragniona ma dusza,
O słodką ciszę szeleszczący lesie!

VIII.

Bolu szemrzący zdrój i cichej melancholji
Łagodny poszum ten czemu mi płynie z duszy?
Czy stąd, że życia znój zaciężył na mej woli,
Czuwanie zmienia w sen w bezgwarnej pragnień głuszy?

Czy stąd, że moich ócz teleskop wyciągnięty
Tam, gdzie tych czasów głąb, idących, jak ofiary,
Na rzeź, dostrzega krucz — pochmurne tylko męty
Choć jeszcze wczoraj zrąb ich nieb zlewały żary?

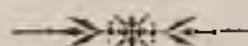
O rzuć tych pytań nóż! po co znów krajać serce,
Co, widząc dziś swój los i przeznaczenie świata
W gaśnięciu złotych zórz, w straszliwych walk rozterce

Nie skrzepłą rzuca krew, nie rozjęk, w rozpacz plenny,
Lecz rezygnacji głos z nieśmiałym żalem splata
I ten swój tęskny śpiew na powiew śle wiosenny.

Jan Kasprowicz.



Chłopi i studenci w Danji.



II.

Ludność Danji wykazuje wzrost nadzwyczaj szybki. W r. 1800 liczyła cała monarchja duńska 2,400.000 mieszkańców, t. j. 900.000 w Danji właściwej, 900.000 w Norwegji, a 600.000 w Szlezwigu i Holsztynie. Z biegiem naszego stulecia straciła Danja ziemie norwegskie i szlezwicko-holsztyńskie. Pod względem mieszkańców straty się dzisiaj zrównoważyły, właściwa bowiem Danja liczy dzisiaj około 2,400.000 ludności, pomijając 200.000 kolonistów duńskich w Ameryce północnej, posiadających własny ustrój gminny, własne szkolnictwo, kościół duński, dziennikarstwo i t. d. Łączność kolonji tych z ziemią macierzystą staje się przytem coraz ściślejszą.

Liczba mieszkańców Kopenhagi wzrosła w wieku bieżącym z 100.000 na 400.000.

Dwie trzecie ogólnej ludności duńskiej mieszka po wsiach, fakt więc, że włościaństwo duńskie znajduje się na tak wysokim poziomie kultury, posiada wielkie dla kraju znaczenie. Ważnym czynnikiem są tutaj stosunki majątkowe na wsi.

Kwestją agrarną, znajdującą się obecnie we wszystkich krajach na porządku dziennym, zajmowano się w Danji praktycznie już przed stu laty, i w zasadniczej jej części można tam uważać ją za rozwiązaną.

W ubiegłym wieku wszystka ziemia była w rękach wielkich właścicieli, chłop, uciemiężany na każdym kroku, był leniwy i ubogi. Z ubóstwem ludu szło w parze ubóstwo całego kraju. Od tego czasu stosunek ten tak dalece się zmienił, że dzisiaj Danja zajmuje pod względem bogactwa krajowego drugie miejsce w świecie, ponieważ majątek kraju w stosunku do liczby mieszkańców większym jest w Danji, niż we wszystkich innych krajach, z wyjątkiem Anglji.

Szereg wielkich, zasadniczych reform agrarnych rozpoczęto już w r. 1788, a prowadzono je z coraz to większem natężeniem aż do naszych czasów. W tej pracy reformatorskiej odegrało wielką rolę »Towarzystwo przyjaciół chłopów«, które na sztandarze swym wywiesiło: materjalne i duchowe wyswobodzenie stanu włościańskiego, stawiając hasło to jako najcelniejsze zadanie społeczeństwa Danji. Z biegiem lat ukształtowały się stosunki agrarne w ten sposób, że dzisiaj $^1/_6$ ziemi należy do robotników, $^4/_6$ zaś mają t. zw. łannicy, a $^1/_6$ dzieli się pomiędzy małe gospodarstwa chłopskie (100—200 hektarów) a wielkie dobra rycerskie.

Z wyjątkiem bardzo małego procentu są »łannicy« chłopami wolnymi, »gburami«. Z drobnego włościaństwa posiada około 150.000 własny domek z kawałkiem ziemi, na której utrzymuje się chudoba, a tylko 35.000 należy do kategorji chałupników, nie mających prócz domku żadnego kawałka ziemi, Danja jest więc niedaleką ideału Chamberlain'a, żądającego »dwóch morgów ziemi i krowy na osobę«

Wskutek wzrastającej samodzielności materjalnej i materjalnego dobrobytu rozwinęło się pomiędzy włościaństwem duńskiem silne życie umysłowe. Z początkiem czwartego już dziesiątka bieżącego wieku zaczęli chłopi duńscy brać udział w życiu publicznem, występując zwłaszcza jako mówcy podczas wszelkich uroczystości politycznych i narodowych. Właściwy atoli rozwój umysłowego życia chłopów datuje się od powołania do życia t. zw. wszechnic ludowych, oryginalnej instytucji, stworzonej przez poetę duńskiego, biskupa Grundtwiga. Pierwsza taka wszechnica ludowa powstała w r. 1843 w Roedding w Szlezwiku północnym. Obecnie istnieje w Danji 66 wszechnic ludowych, oprócz 15 szkół agronomicznych i ogrodniczych.

Myśl biskupa Grundtwiga przeprowadzili sami chłopi z niewielkim udziałem ludzi z klas oświeconych, które, ogółem wziąwszy, zachowują się względem tych pożytecznych instytucji oziębłe a często nawet wrogo. Od niedawnych lat otrzymują wszechnice ludowe zasiłki pieniężne z kas państwowych w sumie 180.000 koron rocznie.

Wszechnice ludowe są rodzajem uniwersytetów. Istnieją w nich dwa półrocza: półrocze zimowe, trwające 6 miesięcy, przeznaczone jest dla synów włościańskich, w półroczu zaś letniem, trwającem 4 miesiące, uczą się dziewczęta wiej-

skie. W niektórych zakładach tego rodzaju uczą się dziewczęta i chłopcy razem.

Celem tych szkół jest: wpajanie oświaty w młodzież wiejską, bez odbierania jej chęci do pracy około roli. Trudny ten problemat udało się wszechnicami ludowymi rozwiązać w ostatnich latach ku ogólnemu zadowoleniu.

Nauka w chłopskich tych uniwersytetach polega przeważnie na ustnych wykładach takich ogólnych przedmiotów, jak historja, religja, kwestje socjologiczne, nauki przyrodnicze, rolnictwo i t. d. W ostatnich czasach zaczęto atoli wykładać także języki i inne przedmioty z zakresu nauk ścisłych. Nie pominięto także gimnastyki, owszem, w wszechnicach ludowych poświęcają tej gałęzi bardzo dużo uwagi.

Uczniowie tych szkół wydają zwykle własny swój dziennik, pisany, i zbierają się co tygodnia na zebrania naukowe, na których toczy się dyskusja nad rozmaitemi kwestjami — zajmuje ich np. »sprawa kobieca«, »rzeczpospolita czy monarchja«, najrozmaitsze kwestje z dziedziny socjologji i t. d. Uczniowie mieszkają w szkole, gdzie, oprócz mieszkania, dostają także pożywienie. Jedną trzecią uczęszczających na wszechnice stanowią dzieci niezamożnych chłopów, utrzymywane kosztem państwa. Prawie wszyscy wychowańcy pochodzą ze wsi, do szkoły zaś chodzą w wieku lat 18 do 25, a uczęszczają na kilka z rzędu semestrów. Przy końcu każdego roku urządza każda z tych wszechnic »doroczne zgromadzenia«, trwające 3—4 dni; każdego dnia odbywają się 3 lub 4 wykłady, wieczorem zaś wyczerpujące dyskusje, w których okoliczni włościanie i włościanki bardzo żywy biorą udział.

Każdego roku wraca około 10,000 wyrostków i dziewcząt z wszechnic tych do swoich wiosek rodzinnych. Stosunkowo ma to takie same znaczenie, jak gdyby np. w monarchji austrjackiej co roku z własnej inicjatywy około 150.000 wyrostków i dziewcząt wiejskich kończyło szkoły średnie. Tego rodzaju rozwój, istniejący prawie od lat pięćdziesięciu wywarł na życie włościaństwa duńskiego wpływ niezwykle doniosły.

W ostatnich trzydziestu latach istniały po wsiach stowarzyszenia dla urządzania wykładów publicznych, działające razem z »towarzystwami rolniczemi« i »politycznemi«. W wzmiankowanym powyżej okresie wygłoszono za inicjatywą tych stowarzyszeń kilkadziesiąt tysięcy wykładów. W niektórych gminach nie było tygodnia w roku, ażeby nie wygłoszono najmniej jednego wykładu.

Ogniskami, w których się koncentruje życie umysłowe chłopów i skąd naokoło rozszerzają się promienie oświaty, są »domy stowarzyszeń«. Taksamo jak wszechnice ludowe oraz przeważna część dzienników prowincjonalnych zawdzięczają one byt swój inicjatywie i pieniędzom chłopów. Domy te składają się z wielkiej sali, przeznaczonej na zgromadzenia, a mogącej pomieścić około 600 do 800 ludzi, oraz z kilku innych lokalności. Zimą uprawia tutaj młodzież wiejska gimnastykę, dwa wieczory w tygodniu wyrostki a dwa inne wieczory dziewczęta; tutaj odbywają się niezwykle częste wykłady i dyskusje, poruszające wszystkie żywotne kwestje narodu.

»Domy stowarzyszeń« istnieją w każdej niemal wiosce.

We wszystkich tego rodzaju zgromadzeniach uczestniczą kobiety na równi z mężczyznami. Kobiety też zasiadają bardzo często we wydziałach stowarzyszeń chłopskich, zwłaszcza zaś w tak zw. »stowarzyszeniach młodzieży« i »towarzystwach wstrzemięźliwości«, z których pierwsze mają przeważnie charakter polityczny. Dowodem wielkiego uświadomienia chłopek jest i to, że kobiecy ruch emancypacyjny ma po wsiach dużo zapalonych zwolenniczek. Niemało jest mężczyzn i kobiet, żyjących jedynie z tego, że wędrują od wsi do wsi i wygłaszają wykłady lub zabawiają chłopów odczytywaniem komedji i t. d. W ostatnich czasach zaczęli włościanie urządzać koncerty z udziałem najlepszych muzyków duńskich, a teatry amatorskie są u nich na porządku dziennym.

Pomiędzy autorami, wystawianymi na scenach chłopskich, nie braknie nawet Moliera. Przed trzema laty odegrano n. p. w jednej wsi jego »Chorego z urojenia«. Celem należytego przedstawienia tej sztuki jeździli amatorzy do Kopenhagi, aby się przypatrzeć, jak rzecz ta wygląda na arenie stołecznej.

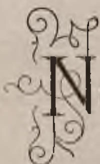
Chłopi, posiadający i popierający najbardziej rozpowszechnione pisma prowincjonalne, piszą sami do tych gazet zarówno artykuły polityczne jak i rolnicze i t. p. W większej części wiosek istnieją wypożyczalnie książek, będące własnością gminy; wielu chłopów duńskich próbowało sił swych na polu czy to lirycznej poezji ludowej, a jeden z nich zasłynął nawet jako poeta dramatyczny, tworzący sztuki, z powodzeniem grywane nawet w Kopenhadze. Dok. n.



Kartki z współczesnego dziennika.

Stefan Żeromski. — »Opowiadania«. — Warszawa. U Teodora Paprockiego i S-ki. 1895.

(Ciąg dalszy).



Nie mogę streszczać i opisywać po koleji utworów, których cały czar, zdaniem moim, stanowi nie bajka, ale nastrój — całość od kropki do kropki. Acz wrażeniem bodaj jednego z nich muszę się podzielić z czytelnikiem i z autorem. Zresztą wrażenia jednej z tych

kartek jest charakterystyczne dla pozostałych. Wracam do wspomnianej na początku »Siłaczki«.

»Dr. Paweł Obarecki w najlepszym humorze powrócił do domu z winta, za pośrednictwem którego składał uroczyście życzenia ks. plebanowi wraz z aptekarzem, poczciarzem i sędzią — w ciągu ośmnastu godzin z rzędu. Powróciwszy, drzwi gabinetu zamknął tak szczelnie, aby się do niego nikt, nie wyłączając dwudziestoczteroletniej gospodyni, wedrzeć się nie mógł — usiadł przy stoliku i wpatrywał się przedewszystkiem z uporem w okno, bez żadnego zresztą wyraźnego powodu, następnie zaś zajął się bębnieniem palcami po stole. Czuł najwyraźniej, że opanowywać go zaczyna metafizyka...«

Metafizyka dra Obareckiego, której doświadczał parę razy do roku, to kilka godzin świadomego samobadania bystro, z szaloną gwałtownością napływających wspomnień, niecierpliwego zbierania strzępów wiedzy, szamotania się graniczącego z wściekłością, szlachetnych porywów, przywalonych gliną bezczynności, rozmyślań, wybuchów goryczy, postanowień niezłomnych, ślubów, zamiarów.

Dr. Obarecki przybył do Obrzydłówka przed sześciu laty... Mówiono wówczas powszechnie o konieczności osiedlania się w Obrzydłówkach i dr. Obarecki posłuchał apostołów. W pierwszym zaraz miesiącu dr. Obarecki wydał wojnę aptekarzowi i balwierzom obrzydłowskim, którzy eksploatowali okolicę na lekach i leczeniu. Zaprowadził nawet własną podręczną apteczkę. Wskutek tego wybito mu wszystkie szyby w mieszkaniu. »Ponieważ zaś Baruch Pokoik, szklarz miejscowy, odprawiał w owym czasie święto kuczek trzeba było okna zakleić bibułą«. Młody doktór nie zwracał uwagi na przeciwności, ufając w »zwycięstwo prawdy«. Ale zetknięcie z prawdziwą ciemnotą, z prawdziwą biedą ludu powoli oddziałało na doktora, »nieznacznie zaczęło mu być wszystko jedno«. Jedzą zgniłe kartofle — cóż począć? niech jedzą, jeżeli im smakują. Mogą nawet jadać surowe, to trudno«.

I pewnego pięknego poranku dr. Obarecki skonstatował »że ów płomyczek nad jego głową, z którym tu przyszedł i którym chciał rozwidnić drużynę swoją — zgasł. Zgasł sam przez się: wypalił się«.

Te właśnie dzieje zagasłego płomyczka stanowiły treść »metafizyki« doktora. Szarpały się w nim strzępy jakichś dawnych, lepszych pierwiastków, toczyła się w nim w takich chwilach bezpłodna walka między owem j a młodego apostoła z dawnej epoki, a tem drugiem j a, grzęznącem w błotku miejscowych preferansów, stosuneczków z gospodynią, wizyt u pani aptekarzowej... To drugie j a zwyciężało powoli i czuł dr. Obarecki, że niedługo może przystąpi do szachrajskiej spółki z aptekarzem... Byłać w tem wina Obrzydłówka?

W chwili, kiedy po szesnastogodzinnym preferansie Obarecki zaczyna znowu oddawać się tym bezpłodnym rozmyślaniom, zjawia się chłop z wioski jeszcze bardziej zapadłej, niż sam Obrzydłówek i zabiera doktora do chorej nauczycielki...

»Małą i nadzwyczajnie ubogą izbę oświetlała lampa przyćmiona, stojąca u wezgłowia chorej. Rysów twarzy nauczycielki nie można było rozeznać, gdyż padał na nie cień jakiejś dużej księgi. Doktor zbliżył się ostrożnie, lampę rozświetlił, usunął książkę i przyglądać się zaczął pacjentce. Była to młoda dziewczyna, pogrążona w śnie gorączkowym. Szkarłatem powleczona była jej twarz, szyja, ręce — na tle tem znać było jakąś wysepkę. Jasno-popielate niezmiernie bujne włosy leżały poplątanemi pasmami na poduszce, wiły się dokoła twarzy. Ręce bezwiednie i niecierpliwie szarpały kołdrę.

Dr. Paweł pochylił się aż do samej twarzy chorej i zaczął nagle mówić głosem, który przecinało i dusiło wrażenie:

— Panno Stanisławo, panno Stanisławo!

Chora leniwie i z wysiłkiem dźwignęła powieki, lecz zamknęła je natychmiast. Przeciągała się, przesuwała głowę z jednego końca poduszki na drugi i jakoś cicho, boleśnie, głucho jęczała. Co chwila otwierała usta, jak karp, z wysiłkiem połykając powietrze... Doktór powiódł oczami po nagich wybielonych ścianach, dostrzegł okno źle opatrzone, przemokłe i zeschnięte trzewiki chorej, stosy książek leżące wszędzie — na ziemi, na stoliku, na szafce..

— Ach, ty szalona, ty głupia! — szeptał, załamując ręce gorączkowo, z trwogą i żalem zaczął ją badać, mierzył drżącemi rękami temperaturę.

— Tyfus! — wyszeptał blednąc«.

Oto co sobie doktór Paweł przypomniał, czekając w pokoiku umierającej na lekarstwa.

Pannę Stanisławę znał za dawnych czasów studenckich. Spotykał się z nią czasem na gwarnych zebraniach na pewnym czwartku, gdzie przy składkowych serdelkach i herbacie powstawały ich bujne marzenia i apostolskie zamiary. Kochał się w niej nawet po studencku. I teraz oto spotkał ją na posterunku, zmożoną w walce z warunkami Obrzydłówka, które zmogły i jego. Wir wspomnień obudził w nim nagle wszystkie żale i wzmógł zwyczajną ślamazarną »metafizykę« do potęgi niebywałej. Całą noc czuwał doktór przy chorej, nad ranem sam ruszył po lekarstwa i drugiego lekarza, nie mogąc doczekać się posłańca. Kiedy w południe wracał do wioski, nauczycielka już nie żyła. Zostało po niej mizerne dziedzictwo książek i papierów, po którem doktór rozglądał się osłupiałym wzrokiem. W szufladce stolika znalazł list rozpoczęty do przyjaciółki, w ktorym nauczycielka polecała jej opiece opracowaną przez siebie »Fizykę« dla ludu. Znalazł też rękopis owej Fizyki. Chłopiec jakiś ze

wsi odniósł książki, które mu nauczycielka dawała do czytania.

»Śmierć panny Stanisławy wywarła wpływ niejaki na usposobienie doktora Pawła. Przez pewien czas czytywał w wolnych chwilach »Boską komedję« Dantego, w winta nawet nie grywał, gospodynię dwudziestoczteroletnią odprawił. Stopniowo jednak uspokoił się. Obecnie ma się znakomicie: utył, worek pieniędzy nazbijał. Ożywił się nawet i dzięki jego usilnej agitacji wszyscy prawie optymaci obrzydłowscy zaczęli palić papierosy w gilzach nieklejonych, znanych pod godłem »nieszkodliwych piersiom«. Nareszcie!«

Tak kończy się historja o bohaterach Obrzydłówka i okolic. Dok. n.



MARZYCIEL.

Obrazek z bruku warszawskiego

Przez

KLEMENSA JUNOSZĘ.



(Ciąg dalszy).

Panna Teofila została na obiedzie i odbyła długą naradę z ciotką. Stanęło na tem, że będzie uczesana po grecku, że włoży suknię czarną, cokolwieczek wyciętą, a na ramiona białą koronkową narzutkę; postanowiono też, że fotografja ma być w formacie gabinetowym, ponieważ zwyczajny jest stanowczo za mały i nie można na nim uwydatnić dostatecznie rysów twarzy.

Fotograf zalecił pannie Teofili, aby zachowywała się spokojnie i starała się mieć twarz pogodną i uśmiechniętą. Skutek był taki, że młoda osoba podczas pozowania poruszyła się trzykrotnie i tyleż razy zdążyła zmienić wyraz twarzy.

Fotograf wyszedł do ciemnego pokoju a po chwili wrócił i oświadczył że wszystko na nic. Trzeba było powtórzyć eksperyment, niestety z takim samym samym rezultatem.

— Nie ma sposobu — rzekł — zdejmę portret pani błyskawicznie, proszę uważać i patrzeć w ten punkt — dodał, wskazując portret jakiejś poważnej damy.

Panna Teofila była pewna, że na szerokiem obliczu matrony ukaże się zaraz błyskawica, zrobiła więc mimowiednie minkę uśmiechniętą i zaciekawioną.

— Dziękuję pani, już — rzekł fotograf.

— Już? — zapytała zdziwiona.

— A tak, to właśnie jest sposób momentalny czyli błyskawiczny; nieoceniony gdy się ma do czynienia z osobą tak żywego temperamentu jak pani.

Po upływie kilku dni fotografje była gotowe i dwanaście egzemplarzy trzeba było rozdać, prawie na poczekaniu,

Rozchwytano je, przedewszystkiem jednę wzięli rodzice, drugą ciotka Weronika, trzecią wuj Marceli, chociaż nie zasłużył na to, bo się wszystkiego wyparł i zapewniał, że ciotka sieje tylko plotki; Józia, Stefcia, Helenka także dostały po jednej, kilka zabrali znajomi i jednę ten pan.

Z tym panem tu jest cała historja, z której, jak twierdzi ciotka Weronika, powinnoby coś wyniknąć. Od czasu do czasu bywa on w domu rodziców panny Teofili, niekiedy asystuje na spacerach, lub towarzyszy do teatru, często zamyśla się, ale wyraźnie zamiarów swoich nie zdradza.

Wizyty jego nie rażą i nie dziwią, jest bowiem kuzynem panny Teofili ze strony matki. Co prawda, kuzynowstwo to bardzo dalekie i nie stanowiłoby przeszkody do małżeństwa, ale zawsze kuzynowstwo. Panna Teofila mówi, że nie wiele sobie robi z wizyt kuzyna, ale jeżeli go przez tydzień nie widać, to jej smutno, bo w samej rzeczy, dlaczegóż nie przychodzi?

Czy się obraził? Czy też może znalazł sobie milsze towarzystwo. I niechby znalazł, ale to jeszcze nie racja, aby zapominać o dawnych znajomych, a zwłaszcza o krewnych. Bądźcobądź, takie postępowanie nie zasługuje na pochwałę i panna Teofila przyrzeka sobie w duszy, że przy pierwszej sposobności zrobi kuzynkowi wymówkę, lecz gdy on przyjdzie już jest rozbrojona, wraca jej humor, wesołość i zapomina o postanowieniu.

Czy kocha go? Nie wie; nie zadawała sobie pytania tego dotychczas, prawdopodobnie nie kocha, ale gdyby ją zapytano jakie jest najpiękniejsze imię męzkie w całym kalendarzu, odpowiedziałaby bez namysłu, że Ignacy, jaki kolor włosów najbardziej przypada jej do gustu, odrzekłaby, że ciemno-blond. Przekonana jest także, że nie ma na świecie milszych oczu nad niebieskie, zwłaszcza, gdy patrzą przez binokle.

Pan Ignacy jest małomówny, w liczniejszem towarzystwie nie wysuwa się na pierwszy plan, mówią też, że nie traci czasu na mieście, nie bawi się.

Ciotka Weronika dobrze to spenetrowała i wie, że to nie jest taki młody człowiek, jak inni w jego wieku i położeniu. Ciotka jeżeli chce co wiedzieć, znajdzie tysiąc sposobów, aby dociec prawdy i zasięgnąć informacji z najlepszego źródła.

— Wy go nie lekceważcie — mówi nieraz do rodziców panny Teofili — bo to człowiek serjo. Trzeba wam wiedzieć, że... jakże się nazywa, zapomniałam... Aha! trzeba wam wiedzieć, że gdyby chciał, mógłby mieszkać w kilku po-

kojach, a mieszka w jednym; gdyby chciał sprawiłby sobie eleganckie meble, a obywa się najskromniejszemi, a wiecie wy, gdzie on jada?

— Zapewne w restauracji.

— No tak, ale w jakiej?

— Zkąd mogłabym to wiedzieć? — rzekła matka panny Teofili, wzruszając ramionami.

— Ja jednak wiem, nie z pustej ciekawości, ale... bodajże cię, znowuż zapomniałam!... aha tak! dla Teofilki. Ja ją kocham i jestem dla niej życzliwa, niema godziny, żebym o niej nie myślała. Ztąd racja, że mam pana Ignacego na oku... a jak ja wezmę kogo na oko, to już on się z niczem przedemną nie ukryje. Otóż, jakże to... com chciała powiedzieć. Aha! Jada w restauracji najtańszej, oszczędny jest bardzo, nie pija i nie pali. Pokażcie mi drugiego takiego kawalera, a gotowa jestem w tej chwili dać rubla na szpital.

Ojciec panny Teofili zaczął się śmiać, słysząc te pochwały.

— Gotów jestem przypuszczać — rzekł — że ty sama Weronisiu, zakochałaś się w Ignacym.

— Naturalnie, gdybym była młodsza, zakochałabym się bezwarunkowo, ja bardziej niż kto inny.

— A to dlaczego?

— Dlaczego?... Niechże sobie przypomnę, Dlatego, że ja miałam męża, a ten mąż, niech mu Pan Bóg grzechy przebaczy, był tak podobny do pana Ignacego, jak ziemia do nieba. Pił jak smok, palił jak dragon, chociaż miał w domu co jeść, chodził do najdroższych restauracji, a w karty lubił grywać do późnej nocy, czego przecież pan Ignacy nie robi. Cóż ty o nim myślisz, kochana Teofilko?

— Czasem mówię za jego duszę »wieczny odpoczynek«.

— Za Ignacego! przecież żyje!

— Za nieboszczyka męża cioci.

— Ale co myślisz o Ignacym?

— Nic.

— To źle, to bardzo źle, słuchaj ty ciotki i myśl, bo ciotka jest doświadczona, praktyczna i na ludziach zna się jak na niciach, a chyba nie zaprzeczysz, że o niciach mam niejakie wyobrażenie.

— Ale któż wątpi!

— Ostatecznie, sens moralny jest taki, żebyś o Ignacym myślała. Między nami powiedziawszy, na co i na kogo będziesz czekała? Niby ta wasza kamieniczka, zapewne... ale, jakże się nazywa? Aha, jest to figa o trzech oknach frontu; niby speranda na wuja Marcelego... a! to jest figa bez żadnego frontu, bo dziad się ożeni. Chociaż zapiera się, zarzeka, ale ja jestem pewna, że głupstwo zrobi.

— Niech tam, moja ciociu. Co mi to szkodzi, że będę miała młodą i ładną wujenkę.

— Zapewne; jabym jednak wolała, żeby jej nie było. Ostatecznie, cóżem to chciała powiedzieć? Aha!... jeżeli mnie kochasz Filciu, o Ignacym myśl.

— I cóż z tego jeżeli on o mnie nie myśli.

— A, przyznam ci się, że tego nie rozumiem! Dlaczego niema myśleć, ja śmie nie myśleć, jeżeli ty chcesz, żeby myślał.

— Sama ciocia mówiła niedawno, że wszelkie myślenie, kochanie, małżeństwo, to wierutne głupstwa.

— Rzeczywiście.

— Więc?

— Ponieważ wszyscy robią takie niedorzeczności, to trudno, wyróżniać się nie można. Małżeństwo jest głupstwo, ale i w staropanieństwie niema sensu. Skoro tyle kobiet za mąż wychodzi, to rzeczywiście i ty wyjść powinnaś, nie można przecież chodzić w krynolinie, kiedy wszyscy noszą suknie wązkie, ani też stroić się w pióra, kiedy cały świat chodzi w kwiatach. Małżeństwo, widzisz, zawsze jest w modzie i dlatego panny powinny zamąż wychodzić. Z tej racji masz myśleć o tym... jakże go tam... zapomniałam na śmierć... aha! o Ignacym! Ty myśl o nim, on niech myśli o tobie, inaczej nie pokazujcie mi się na oczy...

Dodała jeszcze ciotka, że jako zdenerwowana i cierpiąca, nie spodziewa się żyć długo, że sklepu norymberskiego na Hożej ulicy do grobu ze sobą nie zabierze, ale zapisze go pannie Teofili, że również nie straci i nie zmarnuje swoich oszczędności, które ma złożone w banku. Dała też do zrozumienia, że słowo jej pewne jest, jak mur. Wuj Marceli, chociaż swego czasu przebąkiwał o zapisie, może jednak zrobić głupstwo i ożenić się, ciotka nie popełni podobnej niedorzeczności; jest uczciwą wdową i taką pozostanie aż do śmierci. Wobec tego, niech tylko młodzi myślą, a będzie im dobrze, jak w niebie.

Panna Teofila i bez zachęty ze strony ciotki, trochę myślała, pan Ignacy zaś myślał dużo.

Przyszedłszy do swego kawalerskiego mieszkanka, usiadł na krześle, oparł rękę na stole, głowę na rękach i zadumał się głęboko. Po chwili wziął ołówek i zaczął nim kreślić po papierze jakieś znaczki, cyfry, dodawał, odejmował, przekreślał, tarł czoło rękami i widocznie nie był zadowolony.

Wstał, przeszedł kilkakrotnie po swoim maleńkim pokoju, rzucił okiem na fotografję panny Teofili, uśmiechnął się, poczem spojrzał w lustro.

— Nie — rzekł półgosem — to się musi skończyć. Zdrowie tracę, mizerny jestem, za wiele myślę, za wiele marzę, to szkodzi.

Zarzucił palto na ramiona, wziął kapelusz, laskę i wyszedł.

Był wieczór sierpniowy, zegar na Obserwatorjum astronomicznem wskazywał godzinę osmą;

do ogrodu botanicznego, do Łazienek, płynęła fala ludzi spragnionych ochłodzenia powietrza, widoku świeżej zieleni.

Wszystkie ławki były zajęte, we wszystkich alejach ludno.

Śliczny pałacyk łazienkowski przeglądał się w stawie, po którym pływały poważne łabędzie, zachwycał oko teatr na wyspie, posągi, egzotyczne rośliny przed pałacem, gondole na gładkiej powierzchni wody, olbrzymie drzewa, rozścielające cień przyjemny.

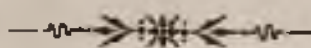
Szumiał wodotrysk, bawiły się dzieci, starzy gwarzyli, zakochani szeptali, a wszyscy radziby byli przedłużyć pobyt w ślicznym parku, wśród drzew i zieleni i odwlec chwilę powrotu do dusznych ulic i rozgrzanych przez całodzienny upał domów.

Na ławce, nad samym stawem, siedziała panna Teofila z rodzicami. Ojciec z matką rozmawiał o swoich kłopotach biurowych, o niegodziwości lokatorów kamieniczki, którzy i z zapłatą komornego nie śpieszą i coraz jakichś odświeżeń i reparacji żądają, a panna Teofila nie wtrącała się do rozmowy. Siedziała zamyślona i kreśliła końcem parasolki na piasku jakieś dziwaczne kwiaty i desenie.

C. d. n.



Z literatury bieżącej.



Dr. Aleksander Hirszberg »Grecja«, wrażenia z podróży. — T. T. Jeż »Żusia«, powieść współczesna w trzech częściach. — Walerja Marrené »Przeciw prądowi«, powieść w 2 tomach. — Abgar Sołtan »Niema metryki!« obrazek z życia ludu podolskiego i »Polubowna ugoda«, powieść. — S. Pepłowski »U kolebki teatru« i »Bogusławski we Lwowie«, nakłady księgarni Jakubowskiego i Zadurowicza we Lwowie. — K. J. Gorzycki »Kwestja lennego zwierzchnictwa Polski do Pomorza«. Lwów 1895. — K. Bartoszewicz »Rok 1863, historja na usługach ludzi i stronnictw«. Kraków, nakładem autora.

(Dokończenie).

W naszem powieściopisarstwie kobiecem grasuje formalna epidemja »prądów«. Mamy »Dwa prądy«, »W prądzie«, »W płytkim prądzie«, »Przeciw prądowi« i jeśli tak dalej pójdzie, to będzie można pójść o zakład, że skoro kobieta weźmie się do powieści z jakąś tendencją społeczną, to z pewnością tytuł będzie miał coś z prądem wspólnego.

To nie przeszkadza, że »Przeciw prądowi«, dwutomowa powieść p. Marrenowej zajmuje w tej »prądowej« literaturze stanowisko bądź co bądź dominujące, chociaż znów nie zasługuje wcale na to, aby ją postawić na czele wszystkich utworów tej autorki. P. Marrenowa w najnowszej powieści pozostała wierną swojemu prądowi, t. zn. zamykając się w dość ciasnem kółku miłosnych cierpień i zabiegów, na tem tle starała się przedstawić niedostatki i niebezpieczeństwa wychowania i wykształcenia dyletanckiego, obliczonego na przyjemność tylko a nie na zdobycie kawałka chleba. Oboje bohaterów swej powieści przeprowadza przez twardą szkołę życia, uzupełniającą owe braki ich wykształcenia, i to jej chyba zarzucić wypada, że przedstawia ich mimo ich niedołęstwa zbyt biało, w przeciwieństwie do pracującego otoczenia, któremu zbyt czarne dostały się barwy. Bo wszakże uczciwi ludzie nietylko między niedołęgami się znajdują. Błąd ten pochodzi przedewszystkiem z nienowej już metody pisarskiej, gdyż jeśli autor bohaterów zbytnio komentuje, a nie każe się im samym komentować przez szereg przedmiotowo nakreślonych sytuacji, wtedy łatwo mu pewnych rysów niedosadzić a inne przesadzić.

Powieściopisarzem młodym ale wiernym również starej metodzie jest p. Abgar Sołtan, który też co się tyczy tematów lubuje się w przedstawianiu słotnej niemal szarzyzny wiejskiego życia z jednej strony, a z drugiej w melodramatycznych nieraz sytuacjach i rozwiązaniach, przypominających dawne powieści. Jednakże nowe prądy i na niego oddziaływują, znać to w postępie jego ku przedmiotowości i w sympatji ku tematom ludowym. Na tem tle osnute są dwie ostatnie jego powieści »Niema metryki« i »Polubowna ugoda«. W pierwszej przedstawiona jest samowola popów rosyjskich i bezsilność w obec niej ludu ruskiego na Podolu, w drugiej stosunki wzajemne tego ludu i dworu z przed lat mniej więcej czterdziestu. Lud p. Abgara-Sołtana przypomina raczej świat wiejski Kraszewskiego niż chłopów Prusa, Dygasińskiego i Sewera, ale może też na tę różnicę wpływa i to, że on przedstawia sentymentalny lud ruski, a tamci w powieściach swoich chłopskich oddal się kreśleniu krewkich, pełnych życia Mazurów.

Na tem kończymy przegląd beletrystycznych utworów, wymienionych w nagłówku. Przejście niejako od nich ku ściśle naukowym stanowią dwie fejletonowo rozprawki p. Stanisława Schnür-Pepłowskiego, »U kolebki teatru« i »Bogusławski we Lwowie« obie wywołane obchodem na cześć Wojciecha Bogusławskiego, założyciela teatru w naszem mieście. Tę właśnie stronę działalności jego stanowi treść jednej z broszurek, druga, nosząca tytuł »U kolebki teatru« odnosi się do czasów pobytu Bogusławskiego w Warszawie. P. Schnür-Pepłowski na polu historji polskiego teatru w Galicji ma przedewszystkiem zasługi trapera, wycinającego pierwsze drogi w dziewiczych lasach amerykańskich i ci, co po nim pójdą, nie będą mogli prac jego pominąć milczeniem.

Historykiem z tej samej co p. Pepłowski szkoły, bo uczniem ś. p. Xawerego Liskego jest p. Kazimierz J. Gorzycki, lecz poszedł zupełnie odmienną drogą. Z dziennikarstwem bowiem nic mają naturalnie nic wspólnego jego rozprawy z przeszłości naszego narodu i to przeważnie z odległej przeszłości, bo sięgającej czasów Kazimierza Wielkiego. Ostatnia rozprawka »Kwestja lennego zwierzchnictwa Polski do Pomorza za rządów Kazimierza Wielkiego«, gdzie autor udowadnia, że Kazimierz Wielki oddał Pomorze Krzyżakom tytułem lenna a nie darowizny, uwydatnia wszystkie przymioty tego historyka. Sumienne gromadzenie faktów i bystra krytyka, przy starannem unikaniu jaskrawych,

ubocznych efektów, pozyskują p. Górzyckiemu sympatje czytelnika. Jest w tej wstrzemęźliwości jakaś wytworność naukowa, przypominająca dystynkcję parlamentarzystów angielskich. Bo też praca ta robi wrażenie ze znacznym darem przekonywania zbudowanej mowy przed forum historji wygłoszonej dla udowodnienia, że w sporze z r. 1422 między Krzyżakami a Polską, słuszność była po stronie Polski, nie zaś jak twierdzą niemieccy historycy, dr. Caro i Voigt, po stronie zakonu krzyżowego.

Wyborny przykład bystrej i nadzwyczaj sumiennej krytyki dziejowej dał p. Kazimierz Bartoszewicz w książce: »Rok 1863. — Historja na usługach ludzi i stronnictw. O książce i z powodu książki p. Koźmiana o r. 1863«. Mimo to rzecz ta ma wiele i to bardzo wiele wspólnego z dziennikarstwem. Nietylko, że jej autor ma na tem polu imię głośne, ale, że wymierzona jest przeciw pracy innego publicysty, pracy pseudo-historycznej, a w rzeczywistości mającej z góry narzuconą przewrotną tendencję.

Kiedy się ukazała Stanisława Koźmiana, uchodzącego powszechnie za moralnego wodza stańczyków, trzytomowa »Rzecz o roku 1863«, zalecająca narodowi polskiemu najniższego rodzaju utylitaryzm i zrzeczenie się ideałów narodowych i społecznych, najsilniej i najgruntowniej zaatakowali ją z licznych jej krytyków Tadeusz Romanowicz i Kazimierz Bartoszewicz. Romanowicz wyzwał Koźmiana do »walki na duchy«, na idee, na przekonania, dał swojej pracy szeroki podkład historjozoficzny i stworzył nietylko krytykę przeciwnika, ale w niej samodzielną rzecz programową. Bartoszewicz jął się innej metody. Wypisał on na początku książki jeden z aforyzmów p. Koźmiana: »Przedsięwzięcia bezpodstawne posługiwać się muszą kłamstwem w większej mierze niż inne« i udowodnił następnie, że p. Koźmian w pracy swojej — trzyma się wiernie tego hasła! Miesiącami całemi musiał p. Bartoszewicz przesiadywać nad dawnymi szpargałami i w ogóle nad źródłami historycznemi, aby skontrolowawszy fakta, przytoczone przez p. Koźmiana, nad każdym z nich niemal wypisać wyrok: »fałsz« i »kłamstwo«. Krytyka jego jest wprost druzgocącą dla Koźmiana, po cegiełce wydobywa on z rozumowań krakowskiego augura wszystko, co spruchniałe, aż się cały gmach w oczach czytelnika zawali. Bo rzecz prosta, że jeżeli szereg faktów, z których autor wysnuł myśl polityczną, okaże się przekręconym lub wprost fałszywym, to każdy rozsądny człowiek wraz z nimi musi odrzucić także, oparty na nich, ostateczy wniosek, a tak z całego dzieła nic nie pozostanie.

Nie będziemy iść krok w krok za p. Bartoszewiczem, bo to znaczyłoby przepisać całą jego broszurę, której zresztą część druga dopiero się ukaże. Z tej, która wyszła już z druku, wynika jasno, jak na dłoni, przedewszystkiem niedbalstwo literackie p. Koźmiana, gdyż biorąc się do pisania »historji« nie dość że nie uwzględniał w s z y s t k i c h źródeł, ale oparł się na jednem tylko j e d y n e m, t. j. na rocznikach *Czasu!*... Wynika dalej z rozprawki p. Bartoszewicza niesłychane samochwalstwo autora »Rzeczy o r. 1863«. Przedstawia on bowiem siebie jako osobistość bodaj czy nie najbardziej wpływową w czasie powstania, niemal jako oś wypadków, jako człowieka, który za pan brat paktował z Napoleonem III., tymczasem wiadomo, że p. Koźmian był wtedy dwudziestokilkoletnim, nieznacznym młodzieńcem, jakich było pełno na bruku krakowskim, a jakto p. Bartoszewicz wykazuje, wpływy jego istniały — ale przeważnie w jego własnej wyobraźni.

Wreszcie najważniejszą zasługą Bartoszewicza jest, jak powiedzieliśmy już wyżej, przychwycenie p. Koźmiana na gorącym uczynku fałszowania historji. Dla usprawiedliwienia siebie i swoich, czyli tak nazwanych przez siebie »uczciwych« i »rozważnych«, a zwalenia winy na obóz przeciwny, któremu dostaje się epitet »szaleńców« i bodaj czy nie zbrodniarzy, wymyślił p. Koźmian całą sieć wypadków, zdarzeń i kombinacji, którą niestety mu p. Bartoszewicz w strzępy rozrywa, bo udowadnia, że anegdotki jego są nieprawdopodobne i bezpodstawne i że jeśli p. Koźmian usiłuje im nadać pewną wiarygodność, dziwnym zbiegiem okoliczności »musi« powoływać się zawsze tylko na ludzi... dawno już zmarłych! Okazuje się wreszcie, że p. Koźmianowi nawet co do wypadków, dotyczących ściśle jego tylko osoby, »pamięć niedopisuje«. Klasycznym pod tym względem jest ten ustęp książki p. Bartoszewicza, gdzie jest mowa o stosunku p. Koźmiana do dyktatora Langiewicza. P. Koźmian bowiem twierdzi o sobie, że po ogłoszeniu dyktatury był w obozie Langiewicza w Goszczy, a p. Bartoszewicz udowadnia, że ze względu na czas, miejsce, okoliczności, osoby, które przytem być miały, wreszcie ze względu, że Langiewicza w czasie, wspomnianym przez p. Koźmiana, już w Goszczy nie było, p. Koźmian tam być nie mógł i nie był. Takich przykładów mistrzowskiej niemal argumentacji niebrak u p. Bartoszewicza.

»Niema — jednakże — złego, coby na dobre nie wyszło«, powiada stareńkie nasze przysłowie, a książka p. Koźmiana choć zgubna w tendencji, sprawiła tyle dobrego, że podniosła na stańczyków wszystkie stronnictwa narodowe, od najkonserwatywniejszych i najklerykalniejszych począwszy aż do najradykalniejszych, a to, co wedle nadzieji p. Koźmiana miało być hymnem tryumfu stańczykowstwa, dziś w uszach autora »Rzeczy o r. 1863« i jego przyjaciół brzmieć musi bardzo podobnie do »Dies irae«...

Jest jeszcze inna korzyść, Stańczykom zapewne się uda rozepchać parę tysięcy egzemplarzy pamfletu p. Koźmiana, może nawet w wydaniu »na papierze holenderskim« i będą one »ozdobą« bibljotek ich adherentów. Ale to pewna, że te grube a nudne foljały niewielu będą miały czytelników, zwłaszcza wśród tych, którychby zepsuć mogły. Za to zajmująco, z zapałem i cięto pisane odpowiedzi pp. Bartoszewicza i Romanowicza rozejdą się n a p r a w d ę szeroko, pogłębiając zdrowe myśli i zdrowe uczucia. Wszystko to dzięki p. Koźmianowi.

I to także zasługa!...



PRO MEMORIA.

22. lipca 1807. Napoleon nadał Księstwu Warszawskiemu konstytucję.

25. lipca 1854. Karol Brzostowski zapewnił testamentem włościanom urządzoną przez siebie fundację w Sztabinie.

25., 26., 27. lipca 1863. Callier staczał zwycięsko bitwy pomiędzy Łęczycą i Łowiczem.

26. lipca 1855. Powstanie ludowo na Ukrainie przeciw rządom carskim. Największą siłę posiadało ono w okolicach Białocerkwi, Zwinogrodu, Wasilkowa, Taraszczy i Korsunia, gdzie liczba uzbrojonych chłopów sięgała 60 tysięcy.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.